

# Bernard Hałaczek

---

## Laudacje : w poszukiwaniu początków życia ludzkiego

---

*Studia Philosophiae Christianae* 32/1, 137-144

---

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## LAUDACJE

### W POSZUKIWANIU POCZĄTKÓW ŻYCIA I LUDZKOŚCI

Szczepanie Czci – Godny!

Godny z wielu wielorakich racji. Wszystkich wyliczyć nie zdołam ani zamierzam. Bo skromności Twej nadwyręzać się boję, a Twą preferencję mowy konkretów znam. Dlatego „wszystko” zastąpię „częstką”. Tą częstką, jaką tematyczna wspólnota poszukiwań (początków) dopuszcza, a przedmiotowa odrębność tematów (początek życia i początek człowieka) użyźnia.

Pomnyś jeszcze naszej polemiki w *Znaku* sprzed dokładnie dwudziestu laty? Wtedy godną publikacji okazała się rozbieżność naszych zdań w sprawie językowej prezentacji biologicznego wyposażenia człowieka: wolno czy nie wolno określać je jako jednorazowe, wyjątkowe? Późniejszych naszych dyskusji nie utrwalano już drukowanymi stronicami. Z powodu zupełnie oczywistego: o harmonii pisać nie wypada. By nie zanudzać. A harmonia w metodzie naukowego postępowania jest nudą literacką do potęgi entej.

Faktem jest niemniej bezspornym, że to właśnie warsztat żmudnej, dla zewnętrznego obserwatora nudnawej pracy stał się nader skutecznym środkiem na rychłe uśmierzenie nękającej nas początkowo niezgodności. Ty wszedłeś w gąszcz problemów biologii, rezerwując dla mnie troskę o zagajnik antropologii. I niewiele drogi trzeba nam było ująć rozdzielnie, by jak na dłoni widoczną się stała paralelność naszych dróg.

Każda droga poszukiwań początków (jakichkolwiek) rozpoczyna się od podobnie mozolnego – bardziej bodaj niż we wszystkich innych poszukiwaniach mozolnego – odkrywania i formułowania trafnych i właściwych, to znaczy wiedzotwórczych pytań. Te zaś i wstępne na nie odpowiedzi odnajduje się na podobnej drodze postępowania: na podłożu zawierzenia paradygmatom aktualnie dominującym i w krytycznej konfrontacji z już przebrzmiałymi i jeszcze możliwymi hipotezami i teoriami. Podobny jest wreszcie końcowy odcinek drogi: osiągnięty rezultat poznawczy uwarunkowany jest nie tylko precyzją

pytań i mocą wyjaśniającą odpowiedzi, lecz także tymczasowością każdorazowego stanu wiedzy.

O zadaniach i trudnościach poszukiwacza początków życia na każdym z owych trzech odcinków drogi badań naukowych nie odważam się mówić. Ty znasz je i mówisz o nich po stokroć lepiej ode mnie. Tak więc tylko tym mogę złożyć Ci hołd, że w Twoim *Numerze* szkic tego dam, z czym boryka się poszukiwacz początków ludzkości. Szkic ten chciałby mimo to pełnić rolę dwuwymiarowego hołdu, gdyż wyrażać wdzięczność za przeszłość i zarazem krzepić owocami przyszłości. Dziękować trzeba mi Tobie za mnóstwo, publicznie jednak zwłaszcza za Twe Redaktorskie zachęty i przynaglenia. Im bowiem zawdzięczam, że o niejednym z prezentowanego tu szkicu już wcześniej pisać zdołałem. A Tve serce Redaktora Naczelnego chyba radośniej zabije słysząc o tym, co z doświadczeń naszych paralelnych dróg w najbliższych numerach *Studiów* pojawić się winno, i co ja w nadziei spełnienia przyrzekam.

Nieodzwonna precyzacja pytań wyjściowych jest na terenie biogenezy chyba bardziej zadawalająca i powszechniej praktykowana niż na terenie antropogenezy. Pytanie o początek życia jest bowiem niemal jednogłośnie rozbijane na cały szereg pytań szczegółowych: o pierwsze kwasy nukleinowe, pierwsze białka, pierwsze organizmy bezkomórkowe, pierwsze jednokomórkowce, itd, itd. Pytanie o początek ludzkości utożsamiane jest natomiast nazbyt często, a poza gronem biologów prawie z reguły, z pytaniem o pierwszego człowieka. Niewielki jest krąg tych, którzy dostrzegają, że tak globalnie sformułowane pytanie pozostawia antropologia bez odpowiedzi, a usiłuje odpowiadać wyłącznie na pytania o precyzyjnie zawężonej treści: o początek podgatunku *Homo sapiens sapiens* (współczesnego człowieka), o początek gatunku *Homo sapiens* (współczesnego i kopalnego człowieka), o początek rodzaju *Homo* (człowieka bez precyzacji gatunkowej), i wreszcie o początek rodziny *Hominidae* (człowiekowate), czyli o początek wyodrębnionej od wszystkich istot przedludzkich i do współczesnego człowieka prowadzonej linii rozwojowej.

Badania biogenetyczne są w punkcie wyjściowym wolne od innego pytania, natrętnie na płaszczyźnie antropogenezy wysuwanego, mianowicie od pytania o stan liczebny poszukiwanego początku. I jakkolwiek antropolodzy nie zajmują się już dziś żywym jeszcze do połowy stulecia problemem mono- czy poligenizmu, to niemniej alternatywa jednostkowego czy zbiorowego początku gatunku ludzkiego jest na zapleczach dyskusji nadal uwzględniana. Wymownym tego wyrazem jest częstość, z jaką najnowsze publikacje na temat „afrykańskiej Ewy” przestrzegają czytelnika przed kojarzeniem

wzmiankowanego imienia z przeświadczeniem, że jakaś jedna kobieta jest matką wszystkich dzisiejszych ludzi. Może należałoby uważniej prześledzić powody, dla których publikacja tego rodzaju przestroż wydaje się być nadal wskazana lub wręcz konieczna?

Niezależnie od tego, czy ktoś jest czy nie jest zainteresowany liczebnością poszukiwanego początku, nikomu umknąć nie może swoista dla tych poszukiwań trudność metodyczno-techniczna. Teilhard de Chardin spopularyzował ją w obrazowej dewizie: embriony nie podlegają skamienieniu! Przeszłość prezentuje się zawsze w utrwalonych już maksymach, a jej minima, jej narodziny mijają bez śladów. Wszelkie początki są z natury swej tak delikatne i nietrwałe, że pozostać muszą nieuchwytnie. Prawdą tą znakomicie zagłował Raymond Dart już w połowie lat dwudziestych. Gdy krytycy zarzucali mu, że jego *Australopithecus* z Taung nie może być formą wyjściową człowieka, bo jest geologicznie zbyt młody, przytakiwał porozumiewawczo. Bez oporu godził się z opinią o dopiero plejstocenijskim wieku swego odkrycia. Do zgody dołączał jednak pouczające sprostowanie: osobnik z Taung jest tylko późnym przedstawicielem populacji sięgającej swymi korzeniami w znacznie dalszą przeszłość, bo w okres środkowego miocenu.

Wspólną i podstawową, z całą pewnością największą i najbardziej uwikłaną trudnością wszystkich poszukiwaczy początków jest konieczność możliwie dokładnego scharakteryzowania tego, czego początek ma być odkryty. Nie można poszukiwać początków życia bez gruntownej znajomości tego fenomenu, jakim jest życie. Nie można przystępować do rozwiązywania zagadki początków ludzkości bez wyczerpującej wiedzy o tym, kim człowiek jest. To są truizmy, które wolno byłoby zbyć milczeniem, gdyby nie stawały się pożywką ustawicznie odświeżanych nieporozumień filozoficzno-przyrodniczego dialogu.

Świętym prawem, wręcz obowiązkiem filozofów jest ukazywanie i podkreślanie niekompetencji przyrodniczych wypowiedzi w charakteryzowaniu podłoża i swoistości człowieczeństwa, w ustalaniu tego, kim człowiek jako człowiek jest. W pułapkę własnej zaborczości intelektualnej zdaje się jednak wpadać każdy – filozof czy przyrodnik – kto problematykę przyrodniczych możliwości poznawczych usiłuje zredukować do lapidarnego oświadczenia: dla biologa człowiek jest i być może tylko zwierzęciem. Pułapki tej nie ustrzegł się w swych ostatnich publikacjach nawet tak krytyczny filozof, jak bez wątpienia był J. M. Bocheński. Nie zauważył, a może zebrał nie zechciał, że biolog z tak dalece zamputowanymi zdolnościami poznawczymi nie potrafiłby nigdy tego, co faktycznie stale i ze stuprocentową pewnością czyni: człowieka jednoznacznie od szympansa czy goryla odróżnia.

Może trzeba pomocy psychoanalizy, by zrozumieć kamuflaż praktykowany przez tego, kto bez zastrzeżeń przyznaje biologowi zdolność wyraźnego odróżniania żywego od martwego, a zdecydowanie odmawia przedstawicielowi przyrodniczej antropologii zdolności dokładnego rozpoznania gatunku *Homo sapiens* czy rodzaju *Homo*, czyli precyzyjnego wyróżniania człowieka od gatunków czy rodzajów pozaludzkich?! Ale może ten, kto zdaje się w wypadku tej niekonsekwencji coś kamuflować, jest tylko ofiarą banalnej nieuwagi metodologicznej? Co innego jest bowiem coś jednoznacznie poznawać i nieomylnie wyróżniać, a zupełnie co innego jest chęć czy potrzeba poznawania i wyróżniania na podstawie jakiegoś jednego ściśle określonego i odgórnie ustalonego kryterium. Problematyczność przyrodniczych kompetencji poznawczych nie ujawnia się przy rozpoznawaniu, lecz dopiero przy definiowaniu człowieka.

Kolportowana w niektórych kręgach filozoficznych deklaracja, jakoby biologia nie była zainteresowana istotą (definicją) życia, a przyrodnicza antropologia istotą (definicją) człowieka, rozmija się z prawdą, choć ma ten walor dydaktyczny, że przybliży zrozumienie faktycznego stanu przyrodniczej niemocy. Niezaprzeczalnym celem przyrodniczych badań jest uchwycenie tego, co życie, co człowieka najbardziej podstawowo znamionuje, najbardziej zasadnie określa, czyli – definiuje. Prawdą jest niemniej, że ów cel nie uwieńczył dotąd żaden przyrodnik przysłowiową kropką nad „i”. Żadnemu nie udało się dotąd scharakteryzować życia, a tym mniej człowieka z pomocą tylko jednej cechy, wyłącznie jednego kryterium. Przyrodnicze definicje życia i człowieka są zwartym zespołem wielu cech, są zbiorem złożonym z kilku do kilkunastu różnych kryteriów. A hierarchia pojedynczych cech, walor diagnostyczny poszczególnych kryteriów podlega ustawicznej rewizji i każdorazowo zależy od tej interpretacji czasowo zawężonego stanu wiedzy, jaką dominująca w owym czasie teoria proponuje. Tymczasowość i odwoływalność są przeto nieodzownym udziałem i lodem każdej przyrodniczej definicji życia, a tym bardziej człowieka.

Aktualny stan wiedzy i dominujących teorii skłania dziś biologa do rostrzygania kwestii początków życia na kanwie związków węgla, a nie np. krzemu, antropologa zaś kwestii początków ludzkich na kanwie zestawu porównawczego dzisiejszego człowieka z dzisiejszymi naczelnymi czelako-, a nie zwierzokształtymi. Dla obydwu są przy tym trzy kryteria konieczne i wystarczające, by odróżniać istoty żywe od martwych, a istoty ludzkie od nie- czy przedludzkich. Dla biologa są nimi: teleonomiczna budowa, autonomiczna morfogeneza i reprodukcyjna stabilność; dla antropologa: układ zębowy, dwunożność i wielkość mózgu. Czy i jak prymat jednego z kryteriów biologa

odmiennie kształtuje obraz zaczątków życia? Pewnym jest, że na obraz początków ludzkości wyraźny wpływ wywiera to, jaką wartość diagnostyczną przypisuje się poszczególnym kryteriom antropologicznym.

Poszukiwania ludzkich początków niezmiernie wzbogaciła pouczająca i upokarzająca historia fałszerstwa z Piltdown. Całe stopy publikacji ostatnich dziesięcioleci usiłowały rozgryźć zagadkę tego wyjątkowo wyrafinowanego oszustwa. Jego sprawcy dotąd nie zidentyfikowano. Jego teoriopoznawcze zaplecze zostało jednak w międzyczasie rozświetlone: duchowym ojcem oszustwa był paradygmat kranialnej antropogenezy. Bazując na embriologii i biogenetycznym prawie Haeckla głosił on, że wielki mózg był pierwszą zdobyczą istot inaugurujących linię rozwojową człowieka. W ramach tego paradygmatu rzeczą nieomal naturalną stało się wykrycie w latach 1912-1915 „eoantropa”: istoty wyposażonej już w ludzką mózgową czaszkę choć z małpią jeszcze trzewioczaszką. I trzeba było dokonać wielu autentycznych odkryć australopiteka, i zebrać o nim sporo niepodważalnej wiedzy, by w latach 50-tych uznać można było dwunożność za zdobycz znacznie wyprzedzającą wielkogłowość, by zatem definitywnie zarzucić kranialny a przyjąć do dnia dzisiejszego obowiązujący bipedalny paradygmat antropogenezy.

Ledwo *Eoanthropus* wrócił skąd wyszedł: do niebytu, a już inny kandydat szturmował pozycję najstarszego ludzkiego przodka: *Oreopithecus*. Uniwersytet Bazylejski zagwarantował mu honorowe miejsce na zorganizowanej w 1960 r. z racji jubileuszu 500-lecia wystawie *Człowiek w czasie i przestrzeni*, w Polsce zaś musiał również Ks. Kłósak poświęcić mu sporo uwagi. Jako kandydat na ludzkiego przodka okazał się intruzem, gdy oczywistym się stało, że poruszał się czworonożnie. Jako cenny oryginał kopalny zadowolili się musiał miejscem w gronie małp właściwych. Swoją krótką karierę na stanowisku trzeciorzędowego przodka współczesnej ludzkości zawdzięcza wyłącznie dwuguzkowości swych dolnych zębów przedtrzonowych. One bowiem stanowiły dla Hürzeler'a naczelną argumentację za włączeniem orepiteka w poczet rodziny *Hominidae*. Tak więc jedna cecha uzębienia była na przełomie lat 50/60-tych tym kryterium, które wprawdzie nie generalnie a jednak pokaźnie kształtowało obraz ludzkiej przeszłości.

Do końca lat 70-tych triumfowało uzębienie jako kryterium decydujące o przynależności do linii rodowodowej człowieka. Przez prawie 20 lat figurował przeciw mioceni *Ramapithecus* (względnie pokrewni mu *Gigantopithecus* czy *Kenyapithecus*) z racji swego uzębienia na liście pierwszych przedstawicieli rodziny *Hominidae*. Pozycję tę gwarantowali mu i Dart, i von Koenigswald, i L. Leakey,

i Eckhardt, i Simons z Pilbeam'em, i wielu innych znakomitych badaczy ludzkich początków. A utracił ją głównie z racji zmywy milczenia: dziś już nikt o niej nie wspomina. Lecz dziś praktycznie nikt nie upiera się też przy lokowaniu ludzkich zaczątków w przeszłość sprzed 14-12 mln lat. Jakkolwiek zatem cechy uzębienia są nadal ważnym kryterium, klasyfikacji form kopalnych, to przecież od kopalnego przodka człowieka wymaga się, by budową swego szkieletu dokumentował umiejętność dwunożnego chodu. Dlatego owego przodka nie poszukuje się dziś w przeszłości przekraczającej 5 mln. lat. O tym zadecydował jednak nie tylko znany z wykopalisk fakt, że pierwsze istoty dwunożne zjawily się dopiero przed 4-5 mln. lat.

Od lat 70-tych rozpoczyna się – jakby bez wiedzy, a z pewnością bez aplauzu tradycyjnej paleoantropologii – proces radykalnej przemiany zarówno dotychczasowych pytań jak i metod badań antropogenetycznych. Podłożem zmian jest głównie wiedza o tym, że DNA steruje procesem rozwojowym każdego osobnika, oraz że zmiany molekularne są źródłem makroewolucyjnych zmian organicznych. Wiedza ta nakazuje pytać: jakie właściwości funkcjonalne białek, jakie przekształcenia struktury protein, jakie zmiany w sekwencji nukleotydów doprowadziły do narodzin człowieka? Na tak stawiane pytania materiał kopalny nie odpowiada, odpowiedzi szukać trzeba w biochemiczno-serologicznych badaniach porównawczych współcześnie żyjących ludzi i pozaludzkich naczelnych. Pierwszym owocem tych właśnie badań stała się teza, że przed ok. 5 mln. lat wyodrębniła się z pnia naczelnych gałęź rozwojowa człowieka.

Poszukiwania początku człowieka w obrębie klasycznej, morfologicznej antropologii różnią się wielorako od tych w obrębie nowej, molekularnej antropologii. Jedną różnicą zdaje się jednak zasługiwać na wyjątkowo grube podkreślenie i szczególnie baczną uwagę, gdyż z niej wywodzą się wszystkie pozostałe różnice. Tę naczelną różnicę odważam się wyrazić w dwóch dosadnych, z konieczności uproszczonych zdaniach: *antropologia „nowa” wie dużo o związkach między organizmami a nic o organizmach wymarłych; antropologia „stara” wie dużo o wymarłych organizmach a nic o związkach między organizmami*. Pewnikiem jest przeto, że jedna bez drugiej obyc się nie może. A bliskim pewnością jest przypuszczenie, że bagaż hipotetyczności jest w obydwu podobnie duży. Słabostki jednej są jednak dobrze znane i powszechnie krytykowane, drugiej natomiast w splendorze nowości często nie dostrzegane.

Rozgłos jaki w ostatnich kilku latach zyskały biomolekularne poszukiwania początków gatunku *Homo sapiens* jest w pełni za-

służony i całkowicie zrozumiały. Dotąd pierwszoplanowym przedmiotem badawczych zainteresowań był początek rodzaju *Homo*. Nieco po macoszemu, raczej ubocznie zajmowano się sprawą pierwszego przedstawiciela gatunku *Homo sapiens* i podgatunku *Homo s. sapiens*. Wyrazem a może skutkiem tego była spora dowolność i w efekcie rozbieżność taksonowiczna właśnie na wyjściowym odcinku historii współczesnego człowieka. Tę sytuację zakończyło, i pożądane od dawna prace badawczo-porządkujące wyraźnie zintensyfikowało jednoznaczne stwierdzenie biochemików Uniwersytetu Kalifornijskiego (Rebecca Cann, Mark Stoneking i Allan Wilson) z roku 1987, że analiza mitochondrialnego DNA różnych odmian ludzkich nakazuje początek współczesnego człowieka widzieć w zwartej populacji afrykańskiej, żyjącej w okresie między 140 a 290 tys., lat temu, czyli w zaokrągleniu – przed 200 000 lat.

Wiedza o tak wysokim wieku żyjącej dziś ludzkości jest niewątpliwie fascynująca. Szkoda przeto, że niepewnym jest, czy taki wiek faktem jest. Pod adresem biomolekularnych badań i rezultatów Kalifornijskiego Zespołu kierować trzeba bowiem cały szereg krytycznych pytań. By ograniczyć się do najważniejszych:

- 1) Jak sprawdzić trafność wyboru jednej, tej właśnie afrykańskiej linii rodowodowej, skoro na podłożu mtDNA 189 osobników skonstruować można  $10^{250}$  różnych drzew rodowych?
- 2) Czy poprawnie skalibrowany został „zegar molekularny” Saricha i Wilsona, zgodnie z którym rozdział ludzkiej od pongidalnej linii ewolucyjnej nastąpił przed 7-5 mln. lat?
- 3) Czy pomiar czasu ludzkiego trwania nie domagałby się konstrukcji odrębnego „zegara”?
- 4) Czy wniosek o stałym tempie ewolucyjnym jądrowego DNA wolno bez żadnych modyfikacji przenosić na pozakomórkowe DNA?
- 5) Jak uzgodnić azjatycką ciągłość rozwojową od *Homo erectus* poprzez archaicznego do współczesnego *Homo sapiens* z tezą o afrykańskim rodowodzie współczesnego człowieka?
- 6) Jak w świetle afrykańskiej ciągłości rozwojowej wyjaśnić koegzystencję dwóch różnych odmian *Homo sapiens* na terenie dzisiejszego Izraela już przed ok. 100 tysiącami lat?
- 7) Jak z afrykańską ciągłością rozwojową uzgodnić europejskie następstwo czasowe *Homo sapiens neandertalensis* i *Homo s. sapiens*?

Podsumowując: może data 200 000 lat wcale nie tyczy wydarzenia istotnego dla historii ludzkości, a ukazuje jedynie historię mutacji tych haploidów, które dożyły do współczesności?



*Sapienti sat!* Czy tak, Szczepanie? Czy udało mi się pokazać, jak bardzo do siebie się zbliżyły nasze od dawna paralelnie biegnące drogi? I czy przyznajesz, że na tych drogach jeszcze wiele nam zrobić trza?! A zatem: żyzných dziesięcioleci po Sześćdziesiątce!

BERNARD HAŁACZEK

### MOJE SPOTKANIE Z KS. SZCZEPANEM ŚLAGĄ

Po raz pierwszy bodajże rozmawiałem z ks. prof. Szczepanem Ślągą podczas Zjazdu Polskiej Filozofii w Krakowie. Wyraził on zainteresowanie udziałem w spotkaniach filozofów nauki w Ośrodku Międzyuniwersyteckim w Dubrowniku (Chorwacja). Wiedział, że jestem jednym z ośmiu dyrektorów imprezy, która nazywa się „kurs filozofii nauki”, a właściwie jest od dawna coroczną konferencją naukową, na którą przyjeżdża kilkudziesięciu filozofów nauki z różnych krajów europejskich i pozaeuropejskich. Powiedziałem, że chętnie załatwię dla niego zaproszenie, tym bardziej, że jedno z kolejnych spotkań ma być poświęcone filozofii biologii, w której ks. Śląga się specjalizuje. I rzeczywiście przyjechał on do Dubrownika w 1988 roku, wygłosił referat i brał udział w dyskusjach.

Tak się złożyło, że zamieszkaliśmy w jednym pokoju w hotelu Lero; był tam bowiem tłok i brakło pokoi jednoosobowych. Prof. Śląga powiedział żartobliwie, że cóż, muszę zamieszkać z księdzem. Odparłem, że nie mam nic przeciwko księżom, a zaraz dodałem, niezbyt taktownie, że wolałbym, co prawda mieszkać z niepalącym, nie jest to jednak tak istotne. Wytknęła mi od razu ten nietakt obecna przy rozmowie Elżbieta Pietruska. Natomiast ks. Śląga zachował się bardzo taktownie, starając się nie palić w naszym pokoju, chociaż mówiłem, że nie powinien się zbyt przejmować tym, co wtedy powiedziałem. Podczas tych dwóch tygodni zaprzyjaźniliśmy się wkrótce, pijąc wino, przeszliśmy „na Ty”. Nie żałowałem już, że zabrakło jednoosobowych pokoi.

Ciekawą przygodą była nasza wspólna podróż do Hercegowiny, do miejscowości Miedzugorie, słynnej wówczas z powodu domnie-manego cudu – grupa miejscowej młodzieży zobaczyła nad wzgórzem, na którym stała, Matkę Boską i słyszała Jej słowa. Po tym wydarzeniu przybywało do Medzugoria wielu pielgrzymów. I podczas naszej wizyty było tam tłoczno. Szczepan miał aparat i robił zdjęcia. Na jednym z nich przeglądam listy do Matki Boskiej pozostawione na szczycie wzgórza przez ufnych pielgrzymów. Po pewnym czasie w Warszawie, dostałem zdjęcia wraz z bardzo miłym listem.